

nie tylko chirurgicznie, ale też etycznie i prawnie, bo usuwa się zdrowe piersi, bez jednoznacznych wskazań do mastektomii. – *Mówimy przecież o usunięciu zdrowego narządu w celu niewystąpienia w nim raka* – wyjaśnia.

Justyna i Angelina

Justyna poszła na mastektomię, gdy wykryto u niej mutację genu BRCA1.

Dokładnie tę samą mutację wykryto osiem lat temu u słynnej aktorki Angeliny Jolie. Miała wówczas 37 lat i uchodziła za ikonę seksapilu. W jej przypadku prawdopodobieństwo zachorowania na raka piersi lekarze oszacowali aż na 87 proc. Zawisła też nad nią groźba nowotworu jajnika, na który w wieku 56 lat zmarła jej matka. Jolie chciała żyć. Dlatego usunęła obie piersi i jajniki.

Ekranowa Lara Croft mówiła o wszystkim publicznie. Przekonywała, że zrobiła to dla siebie i rodziny; żeby dzieci nie musiały mówić, że mama zmarła na raka. Mimo to na gwiazdę wylał się hejt. W Polsce Jolie skrytykował nawet Bolesław Piecha, ginekolog, były minister zdrowia, polityk PiS. „Na szybko badać antygen rakowy, obcinać – za przeproszeniem – piersi, wstawiać implanty i sprawa załatwiona” – pisał. Polityk potem przeprosił, gdy szczegółowo zapoznał się ze sprawą.

Z Pauliną Młynarską było podobnie. Powodem mastektomii były wykryte u niej zmiany morfologiczne grożące złośliwym rakiem piersi. „Na tym etapie miałam jeszcze wybór. Mogłam zdecydować się na ścieżkę »zachowawczą«, czyli branie leków przez długie lata i częste badania kontrolne, lub na »ostre cięcie«, leczenie operacyjne z jednoczesną rekonstrukcją plastyczną. Rozważenie tej alternatywy było bardzo trudnym procesem” – napisała Paulina Młynarska.

Pod wpisem pojawiło się ponad 6 tys. różnych komentarzy. Od chamstwa: „Łeb se odetnij, to cię glejak nie wykończy”; „Młynarska nie potrzebuje cycków, bo jest już stara”; po podziękowaniu, pochodzące głównie od kobiet. Te gratulują dziennikarce odwagi i same dzielą się „nowotworowymi doświadczeniami”.

Lepsze cycki

W wypowiedzi Piechy na temat Angeliny Jolie pojawiła się nutka, która powtarza się u wielu krytyków profilaktycznej mastektomii. Oto zwirowane celebrytki pod pretekstem ratowania się przed rakiem robią sobie operacje plastyczne, by poprawić wygląd! Justyna ironizuje na temat swojej podwójnej mastektomii: – *Czyli ja też zafundowałam sobie nowe cycki na 40. urodziny?*

Dr Tomasz Mierzwa podkreśla, że istota profilaktycznych zabiegów jest inna. Mają one uchronić przed zachorowaniem. Lekarz podkreśla, że „efekt Angeliny Jolie” był dwojaki. Z jednej strony wzrosła świadomość tego, jak groźny jest rak piersi. Z drugiej, w bydgoskim Centrum Onkologii pojawiły pacjentki, które chciały poprawić wygląd swoich piersi pod pretekstem choroby: „Panie doktorze, bo ciotka ze strony matki miała raka piersi, może ja też mam ten gen...”.

– *Poprawianie piersi jest zabiegiem plastycznym, a my zmniejszamy ryzyko zachorowania na raka. Oczywiście każdy będzie się starał zrobić to jak najlepiej, ale apeluję, by taki zabieg mocno przemyśleć od strony wskazań. Temat jest absolutnie tematem onkologicznym, to krańcowa metoda zmniejszenia ryzyka choroby nowotworowej* – podkreśla onkolog.

A ta jest w Polsce potężnym problemem. Według danych Komisji Europejskiej (European Cancer Information System) w naszym kraju odsetek śmierci na raka należy do jednych z najwyższych w UE (obok Słowacji, Węgier i Cypru). W zeszłym roku zmarło blisko 120 tys. osób.

Pole bitwy

Co roku w naszym kraju u ok. 18–19 tys. kobiet diagnozuje się raka piersi. Wśród nich 10 proc. stanowią nosicielki mutacji BRCA1 i BRCA2. O tym, że są nosicielkami, raczej się nie dowiedzą, bo niewiele z nich załapie się na badania genetyczne.

Dobrym przykładem może być 35-letnia Katarzyna, która prowadzi rodzinną firmę w powiatowym mieście na Pomorzu. – *Moje piersi wyglądają jak wielkie pole bitwy* – wyznaje. – *Mam za sobą kilkanaście zabiegów usuwania łagodnych guzków (gruczolakowłókniaków), a problemy zaczęły się już w liceum. Moja mama przeżyła raka piersi i ma usunięte jajniki, a jej dwie siostry walczą z tym obecnie.*

W lutym Katarzyna była u ginekologa. USG piersi wykazało kolejną zmianę. Na pierwszy rzut oka łagodną, „ale nigdy nic nie wiadomo”. Lekarz nie krył zaskoczenia, gdy usłyszał, że w jej historii choroby do dziś nie ma badań genetycznych, więc Katarzyna natychmiast je zrobiła i czeka na wynik. – *Gdy wyjdzie mutacja, nie zawaham się usunąć piersi. Na co mam czekać?! Aż usłyszę, że tym razem to rak?* – mówi Katarzyna, która prywatnie jest mamą 4-letniej Julki.

– *Już co szósta Polka może usłyszeć taką diagnozę* – mówi Tomasz Mierzwa. – *Takie są, niestety, nieubłagane najnowsze statystyki. To jednak nie oznacza, że co szósta umrze.* To między innymi te kobiety mają jedno ze wskazań do profilaktycznej mastektomii. W Polsce jest ona refundowana od stycznia 2019 r. W szpitalu, w którym pracuje dr Mierzwa, w 2019 r. wykonano cztery mastektomie, a w zeszłym żadnej z powodu pandemii.

– *W 2020 r. w moim ośrodku wystawiliśmy kilkadziesiąt skierowań na profilaktyczną mastektomię* – mówi prof. Jan Lubiński z Pomorskiego Uniwersytetu w Szczecinie. Można przypuszczać, że w całej Polsce liczba zabiegów nie będzie przekraczać kilkuset.

Onkolodzy mówią, że to mało w porównaniu z szacunkami mówiącymi, że od 100 do nawet 300 tys. Polek może mieć mutację genów BRCA1 i BRCA2, które wywołują raka piersi i raka jajnika. Badania genetyczne w tym kierunku są wykonywane w większości laboratoriów. Prywatnie kosztują do kilkuset złotych. W przypadku kobiet, które zachorowały na raka lub miały w rodzinie przypadki nowotworów przed 50. rokiem życia lub z obciążonym wywiadem lekarskim, są one za darmo, bo refunduje je NFZ, podobnie jak profilaktyczną mastektomię, która w prywatnych klinikach kosztuje ok. 15 tys. zł. To żadna kwota w porównaniu z tym, ile NFZ płaci za leczenie pacjentek z rakiem piersi, zwłaszcza zaawansowanym.

Operacja

Do operacji profilaktycznej kwalifikuje komisja, w której musi być genetyk kliniczny, onkolog, chirurg onkolog lub chirurg plastyk i psycholog. Dlaczego? Fachowcy podkreślają, że jest to zabieg zmieniający strukturę piersi oraz psychiczną kondycję pacjentki.

Dlatego decyzja o prewencyjnej mastektomii nie może być podyktowana wyłącznie strachem przed chorobą nowotworową. ►



Paulina Młynarska.

► Kluczowe są wskazania: potwierdzona mutacja w genie BRCA1 lub BRCA2, zachorowania na raka piersi w rodzinie – u matki lub babki przed 50. rokiem życia lub u trzech kobiet w rodzinie w dowolnym wieku. Dodatkowym argumentem są też łagodne zmiany w piersiach, które mogą ulec zezłuszczeniu. W onkologii taki stan określa się jako atypię.

Dr Tomasz Mierzwa przyznaje, że prewencyjna mastektomia nie jest prostym zabiegiem. – *Tu nie amputuje się piersi ze skórą i brodawką, jak w przypadku klasycznej mastektomii* – podkreśla. – *Usuwa się miększy i zastępuje go implantem, najczęściej silikonowym, ale to nie jest chirurgia plastyczna* – tłumaczy, dodając, że profilaktyczna mastektomia, jak każda inna operacja, obarczona jest pewnym odsetkiem powikłań. To m.in. nieprzyjęcie protezy – próba jej odrzutu, dłuższa rekonwalescencja i tzw. kapsularyzacja, czyli pojawienie się włóknistej torebki po wielu latach od zabiegu. Nie jest to również operacja dająca 100 proc. pewności uniknięcia zachorowania na raka. Otóż w niewielkim stopniu może dojść do sytuacji, że rak rozwinie się z resztek tkanki piersi, którą w trakcie mastektomii trzeba pozostawić. Zabieg ma jednak naukowe uzasadnienie. Amerykanie wiele lat temu udowodnili, że ryzyko zgonu z powodu raka piersi u pacjentek, które dokonały mastektomii, jest zdecydowanie mniejsze.

Prewencyjna mastektomia to jedna z kilku możliwości ochrony przed śmiertelną chorobą. Drugą opcją chirurgiczną jest usunięcie jajników z jajowodami. Redukuje to ryzyko zachorowania na raka jajnika oraz zmniejsza ryzyko raka piersi aż o połowę.

– *Pacjentki z mutacją pozostają pod wieloletnią opieką. Wykonujemy u nich badania profilaktyczne: mammografię i USG piersi, rezonans magnetyczny piersi od 30.–35. roku życia. Dodatkowo wykonujemy USG ginekologiczne oraz badanie markera ca125. To w miarę czuły marker, który sygnalizuje nieprawidłowości w jajniku* – tłumaczy onkolog.

Bunt i patriarchat

Dyskusja wokół mastektomii Pauliny Młynarskiej toczyła się na kilku poziomach. Sama dziennikarka udzieliła jednego wywiadu dla „Krytyki Politycznej”, gdzie wyjaśniła, co i dlaczego zrobiła. „Mam złożyć swoje życie na ołtarzu tego infantylnego fetyszyzmu? Powinnam grzecznie umierać ze strachu przy każdym badaniu kontrolnym, czekając na to, kiedy się zacznie? Już się robi. Niedoczekanie wasze” – mówiła.

Z prawej strony krytykowano ją za ekshibicjonizm, za to, że publicznie mówi o swoich kłopotach zdrowotnych. Zarzucano jej, że mówiąc o mastektomii, chce o sobie przypomnieć i zarobić. Internauci pytają też, jak dziennikarce udało się poddać operacji w trakcie pandemii. W dodatku na Krecie, gdzie ich zdaniem opieka medyczna jest zacofana.

Naukowcy z drugiej strony barykady rozpatrywali decyzję dziennikarki w kategoriach społeczno-filozoficznych. Na przykład dr Anna Wójtewicz, socjolożka z Katedry Badania Jakości Życia w Instytucie Socjologii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, uważa, że przypadek Pauliny Młynarskiej można też rozpatrywać jako przejaw nasilającego się buntu przeciwko patriachatowi, który u nas ma się świetnie.

– *Od kobiet oczekuje się poświęcenia zdrowia. Dowodem są dane wskazujące na to, że Polki dłużej zulekają z pójsciem do lekarza niż mężczyźni. Ignorują swoje dolegliwości i zaniebujają profilaktykę, bo zajmują się wszystkim dookoła, ale nie sobą. W sytuacjach granicznych stawiają swe zdrowie na końcu* – zauważa dr Wójtewicz.

Badaczka zwraca też uwagę, że męskie ciało nie jest tematem dyskusji publicznej. W katolickiej Polsce uchodzi dyskutować o kobiecych piersiach na łamach pikantnych pism. Przydrożne billboardy kuszą reklamami bielizny niczym kadry z filmów porno. Jednak gdy kobiety zaczynają głośno mówić o piersiach w kontekście zdrowia bądź choroby, to uaktywniają się zwolennicy patriarchalnego porządku. To m.in. przyczynia się do tabuizacji kobiecych problemów nowotworowych. Kobiecie zagrożona rakiem piersi nie decyduje się na profilaktyczną mastektomię, bo matka ją skrytykuje, bo co partner powie etc.

Daleko od Facebooka

Tymczasem powiatową Polskę paraliżuje strach przed rakiem. Onkologia to ta działka medycyny, przy której milkną rozmowy i przy której kończą się nici towarzyskie.

Dlaczego? Pacjenci zgłaszają się do lekarza bardzo późno i w efekcie umierają. Dotyczy to także raka piersi. Bo niby są coraz lepsze możliwości leczenia i profilaktyki, a mammbusy docierają niemal do każdego małego miasteczka czy wsi, ale chętnych do badań brak. Toruński ginekolog (zastrzegł anonimowość), zapytany, w jakim stopniu jego pacjentki świadome są ryzyka chorób nowotworowych, opowiada zdarzenie z gabinetu. – *Siedzi przede mną kobieta ze wsi w średnim wieku, matka dwojga nastoletnich dzieci. Jest okropnie skrwepowana, nie wie, jak opowiedzieć o swym problemie; więc pytam ją, kiedy robiła USG piersi, cytologię itp. Ona tylko macha ręką, aż w końcu wyjawia, że ma problem z... bardzo obfitym owłosieniem łonowym. Chętnie by je zgoliła, ale nie wie, czy wolno. A pani mnie pyta o profilaktykę?*

Jedna z podopiecznych fundacji Alivia, pani Maria (61 lat), o raku piersi dowiedziała się podczas kontrolnej mammografii. Dzięki wczesnemu wykryciu przeszła operację oszczędzającą pierś, ale by nie doszło do przerzutów, musi przyjmować leki nie-refundowane. – *Przez prawie rok powinnam*

brać trastuzumab. NFZ go refunduje, ale tylko w przypadku dużych guzów. Mój rak jest za mały, bym mogła go dostać za darmo. Muszę za niego płacić 3,5 tys. zł miesięcznie, co rocznie daje ponad 40 tys. zł – wyznaje kobieta.

Renata Popik, chirurg ze Śląska: – *Pół roku temu przyszła do mnie pacjentka z guzem w piersi. Miała około 60 lat i guz jak pięść. Kazałam jej wrócić następnego dnia na biopsję, bo zmiana w usg wyglądała bardzo podejrzanie. Nigdy więcej jej już nie widziałam. Od koleżanki z POZ, która ją do mnie skierowała, wiem, że się rozmyśliła. Jest przekonana, że wie lepiej, co jej jest, i skoro ma to już tyle lat, to dalej będzie mieć* – opowiada.

Według danych NFZ (luty 2021 r.) programem profilaktyki raka piersi, czyli mammografią, objętych jest jedynie 32 proc. uprawnionych kobiet.

Dziś zaproszenia na badania nie są powszechne, bo w 2015 r. przestały działać wojewódzkie ośrodki koordynujące programy profilaktyczne. Ośrodki nie działają, bo pacjentki i tak nie przychodziły na badania przesiewowe.

Tym większe znaczenie ma wpis Pauliny Młynarskiej i burza, która się wokół niego rozpętała. Dzięki niemu procedura profilaktycznej mastektomii zaistniała w świadomości społecznej jako coś uchwytne. Dotyczącego nie celebrytek, ale pacjentek zagrożonych nowotworem.

Wiele kobiet dowiedziało się, że gdy tylko są wskazania, mają do mastektomii prawo, a na dodatek nie muszą za nią płacić.

PAULINA BŁASZKIEWICZ

Amerykanie udowodnili, że ryzyko zgonu z powodu raka piersi u pacjentek, które dokonały mastektomii, jest zdecydowanie mniejsze.



Człowiek po przejściach w operetce

Rozmowa z **Arkadiuszem Jakubikiem** o tym, dlaczego film „Kler” niewiele zmienił w Kościele, jak to jest być dzieckiem na planie filmowym, i o tym, dlaczego można pękać ze śmiechu na demonstracjach Strajku Kobiet.

JOANNA PODGÓRSKA: – Jest już grubo ponad dwa lata po premierze „Kleru”. Miał pan nadzieję, że ten film coś zmieni, jeśli chodzi o podejście Kościoła do wyjaśniania przestępstw pedofilskich?

ARKADIUSZ JAKUBIK: – A kto nie miał. Przecież poruszyliśmy temat tabu. Choć zaczął się już wcześniej. Jeszcze przed „Klerem” zrobiliśmy z Wojtkiem Smarzowskim krótki metraż pt. „Ksiądz”, w którym pokazaliśmy, że można żartować z księży i zobaczyć, co naprawdę może się kryć pod mundurem z koloratką. Potem był jeszcze ostry tele-dysk do piosenki „Pismo” Dr Misio. Trochę się do tego „Kleru” emocjonalnie i mentalnie przygotowywaliśmy. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że ten film coś w kraju zmieni. Ludzie po projekcji dziękowali nam, niektórzy płakali. Nadzieja zmieniła się w przekonanie, gdy okazało się, że do kin poszło na „Kler” ponad 5 mln Polaków. Uwierzyliśmy, że ta kropła za chwilę pokona skałę. Zwłaszcza że kilka miesięcy później ukazał się film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”. Mieliśmy poczucie, że bierzemy udział w czymś bardzo ważnym; że tu za chwilę będziemy mieć rewolucję na wzór irlandzki. I co? Po dwóch latach ogarnia mnie pusty śmiech, bo nic się w polskim Kościele nie zmieniło. I nic się nie zmieni, dopóki będziemy świadkami tak niebywałego zbliżania Kościoła z władzą.

Najtrafniej chyba postawę polskiego Kościoła określił Zbigniew Nosowski, który tekst o kryciu pedofilii przez biskupów zatytułował „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie”.

Poza pustymi zapewnieniami i słowami nie dzieje się nic. Nic nie wskazuje na to, że ta instytucja chce się zreformować, a przede wszystkim rozliczyć z pedofilią w swoich szeregach. Przecież najważniejsze powinno być dobro ofiar tego bandytyzmu, zadośćuczynienie im.

Ale świadomość społeczna się zmieniła. Pedofilia duchownych to już nie jest temat tabu.



© LESZEK ZYCH

To prawda. Ludzie coraz częściej mają odwagę pytać i mówić. Ale mam wrażenie, że im więcej pytań, tym wyższy mur stawia wokół siebie instytucja Kościoła. Żeby broń Boże nie musieć na nie odpowiadać i nie musieć podejmować żadnych konkretnych działań, poza konferencjami prasowymi i zapewnianiem, że głęboko ubolewają. I to się nie zmieni, dopóki sądy – tak jak w Stanach Zjednoczonych – nie zmuszą Kościoła do wypłaty ofiarom wysokich odszkodowań. U nas ten proces dopiero się zaczyna. Zawsze to jakieś światło w tunelu.

Gdy wczytać się w pana biografię, to właściwie cud, że został pan aktorem. Przepraszam, nie unikniemy tego. Przed rozmową obejrzałam pański debiut aktorski „Okragły tydzień”...

Aaaaa...!!!

Dla siedmiolatka zagranie sceny nago to musiała być ciężka trauma. Potem zmieniał pan szkołę, bo dzieci się wyśmiewały. Ale ten film to też trauma estetyczna, porównywalna z „Klątwą doliny węży”.

Na planie po raz pierwszy zobaczyłem gołe kobiety, tańczące w wielkich, drewnianych kłatkach podwieszonych pod sufitem kopalni Wieliczka. To też był rodzaj inicjacji. Nikt nie pomyślał, żeby mi zasłonić oczy, i nagle mały chłopczyk widzi wokół siebie mnóstwo rozebranych pań. Do tego przerażające sceny, rodem z horrorów, pokazujące torturowanych, zdeformowanych ludzi. Na wyobraźnię siedmiolatka działało to w sposób nieprawdopodobny. Ale z drugiej strony dla dzieciaka z małego miasteczka to była przygoda życia – podróż do świata, o którym nie miałem pojęcia.

Jak pan się tam znalazł?

Mama przeczytała w gazecie ogłoszenie o castingu w Katowicach, zapakowała rodzinę do małego fiata i pojechał. Zgłosiło się ze trzysta dzieciaków. No i wygrałem. Poznałem reżysera Tadeusza Kijańskiego i Kazimierza Kutza, ►

► który był opiekunem artystycznym tego filmu.

Aż się wierzyć nie chce...

A jednak. Przecudowny pan Kazimierz Kutz był również autorem dialogów. Bywałem u niego w mieszkaniu w Katowicach. Jeździłem po pokojach na rowerku i świetnie się bawiłem. W PRL filmy robiło się na bogato, nie oszczędzano na dniach zdjęciowych. Praktycznie przez cały rok nie chodziłem do szkoły. Poznałem Franciszka Pieczkę, który grał mojego dziadka, Emilię Krakowską, która grała moją mamę.

Annę Dymną, która grała smoka...

A ja byłem tam rodziniekiem, ulubieńcem rozpieszczanym przez wszystkich – sympatycznym, uśmiechniętym Arczkiem. Ja ten czas naprawdę miło wspominam.

Czy ta przygoda z filmem zaważyła na decyzji o studiach aktorskich?

Nie. Jednak to, co się działo w moich rodzinnych Strzelcach Opolskich, ostracyzm, który mnie tam spotkał, zostawiły we mnie poważny ślad. Ja się po tym filmie mocno zmieniłem. Widzom i reżyserom chyba się spodobałem, bo rodzice dostawali telefony, żeby przyprowadzać mnie na kolejne castingi. Wziąłem udział w castingu do serialu „Rodzina Leśniewskich”. Podobno miałem ogromne szanse. Ale ja już byłem innym Arkiem. Reżyserka castingu pytała moją mamę, co się ze mną stało. Dlaczego jestem zamknięty w sobie i patrzę cały czas w podłogę. A ja już wtedy wyrzuciłem z głowy marzenia o filmowych przygodach, chciałem żyć normalnie – chodzić do szkoły, grać w piłkę i żeby się ze mnie nie śmiali. W liceum świadomie wybrałem klasę matematyczno-fizyczną. Wszystkiemu „winna” była moja polonistka, cudowna pani prof. Urszula Kraka, która zaciągnęła mnie do kółka teatralnego i poprzestawiała łocki w mojej głowie. To przez nią postanowiłem zdawać na aktorstwo. Wcześniej myślałem jednak o psychologii. Chciałem pracować z trudną młodzieżą, ale pojechałem na obóz jako wychowawca i zaraz mi przeszło. Egzaminy do szkoły teatralnej potraktowałem jako próbę zmierzenia się z samym sobą. Nie miałem pewności, że to na pewno moja droga.

Miał pan podobno problem z wadą wymowy?

Faktycznie. Dlatego tak bałem się tych egzaminów. Bardzo intensywnie nad tą wadą pracowałem, prawie jak Demostenes. Tylko że zamiast kamyków wkładałem do ust korek i ćwiczyłem wszystkie szeleszczące spółgłoski. Uczyłem się mówić na nowo, wyraźnie i bez seplenienia. Mama załatwiła mi w Opolu lekcje

u znanego aktora, pominięmy nazwisko, wydała na to swoje ostatnie zaoszczędzone pieniądze, nie przelewało się wtedy u nas. Starczyło na pięć lekcji. Pamiętam ostatnie zajęcia, kiedy wręczyłem aktorowi kopertę z należnością i azerski koniak od mamy w podzięce. Aktor sobie polewał i polewał, a gdy skończyliśmy zajęcia odważyłem się spytać: czy ja mam jakieś szanse na tych egzaminach. Pan aktor już na rauszu objął mnie ramieniem i powiedział: „Arczku, daj sobie z tym chłopie spokój”. Wybiegłem na ulicę, do rana snułem się po Opolu, bo uciekł mi ostatni pociąg. Płakałem jak bóbr. Moja i tak niska samoocena sięgnęła dna.

I zdał pan za pierwszym razem.

Moje nazwisko było na czele listy. Ale, mimo że wiem, w jakim miejscu życia dziś jestem, to cały czas mam w sobie tego chłopaka ze Strzelce Opolskich, z robotniczo-inteligentnej rodziny bez żadnych tradycji artystycznych. Nawet gdy już przeprowadziłem się do Warszawy, dalej musiałem zmagać się z tym chłopakiem w sobie – niepewnym siebie absolwentem wrocławskiej szkoły teatralnej, o której w stolicy nikt nie słyszał. Gdy szukałem pracy po tym, jak wyrzucili mnie z operetki...

Zaraz, zaraz. Śpiewał pan w operetce?

Tak. Do dziś w moim aktorskim dossier na początku jest wpisane: „solista Operetki Warszawskiej”. Jak mam doła, wyjmuję sobie z biurka legitymację solisty. Po poważnej awanturze z ówczesnym dyrektorem Janem Szurmiejem dostałem zgodę na to, żeby wkleić w nią zdjęcie, na którym wyglądam jak rosyjski marynarz mórz północnych, co było wtedy nie do pomyślenia w tak szacownej instytucji. Szurmiej namówił mnie do współpracy tym, że chciał zmienić operetkę w teatr muzyczny. Wystawialiśmy „Sztukmistrza z Lublina”, spektakl „Piaf”, w którym główną rolę grała moja żona Agnieszka Matysiak. Ale „Zemsta nietoperza” też szła. Nie miałem wyboru. Musiałem wydzierać się na scenie, obok najwybitniejszych gwiazd operetki – Grażyny Brodzińskiej i Bogusława Morki. Ten teatr to była podróż w czasie. Jakby mnie przeniosło w XIX w. Zwyczajnie, które panowały w operetce, niebywała kastowość, sprawiały, że kompletnie nie potrafiłem się tam odnaleźć. Soliści, czyli najwyższa kasta, uważali, że w złym tonie jest nawiązywanie kontaktu – nawet wzrokiem – z kastami niższymi: orkiestrą, chórem czy baletem. Stoi sobie kolejka do bufetu i wchodzi solista, ale taki prawdziwy solista. W milczeniu mija kolejkę, bierze kawę, rozgląda się po bufecie i gdy jego wzrok zatrzyma się na jakimś stoliku,

przy którym siedzą niższe kasty – oni natychmiast w milczeniu czmychają. Solista siada i czeka. Aż nie nadejdzie inny prawdziwy solista. Witają się kordialnie i zaczyna się wielkie teatrum. Jeden sezon tam grałem. Zresztą ja chyba nie jestem stworzony do pracy w teatrze.

Po szkole teatralnej?

Zderzenie moich marzeń, nadziei i imaginacji z teatrami, do których trafiałem, było zderzeniem z murem. Na ostatnim roku szkoły teatralnej pojechałem do Zakopanego i odwiedzałem teatr Witkacego. Zobaczyłem kilka spektakli i zwariowałem. Dotarło do mnie, że taki teatr chce robić. Chce żyć takim teatrem. Szans, żebym się tam dostał, nie było żadnych. Namówiłem większą część mojego roku, żebyśmy założyli swój własny teatr. Szukałem miejsca, dotacji, snułem plany. Ale koledzy i koleżanki dostawali propozycje z różnych teatrów i zaczęli się wykruszać. Nagle zostałem sam. Powiedziałem sobie: Jakubik, zejźd na ziemię. I w desperacji przyjąłem etat we wrocławskim teatrze Kalambur. To był absolutny koszmar. Przychodzę na pierwszą próbę, przejęty, że to moja pierwsza profesjonalna próba z reżyserem. Robimy sztukę „Szkola błaznów” Michaela de Ghelderode’a. Reżyser otwiera kafejnik i opowiada nam, kim jest autor, o czym jest sztuka. Słucham z uwagą i zaczynam się zastanawiać, skąd ja to znam. Wróciłem do Domu Aktora i sprawdziłem. To były cytaty z „Vademecum teatralnego dla licealistów”.

Do filmu miał pan więcej szczęścia.

Gra pan u reżyserów, którzy dotykają najbardziej bolesnych spraw. Ostatnio to był serial „Król”, który we wstrząsający sposób pokazuje faszyzowanie się przedwojennej Polski. Déjà vu?

Autor „Króla” Szczepan Twardoch absolutnie się od tego oddegutuje, twierdząc, że to powieść historyczna. Ale każdy, kto czytał książkę lub oglądał serial, wyraźnie widzi, że Twardoch postawił nam zwierciadło przed nosem. Tylko kostiumy odrobinkę się zmieniły, bo minęło 90 lat. Klasę robotniczą na ulicach zastąpiły kobiety i młodzież, Żydów, których w Polsce już prawie nie ma – LGBT. Tylko, jakimś dziwnym trafem, ta brunatna strona prawie się nie zmieniła: te same sztandary, symbole, uniformy. Historia po raz kolejny zatacza cholerne koło. I jak tu nie przejrzeć się w tym zwierciadle? Już po lekturze powieści byłem przeżony, zacząłem się bać, że na współczesnych demonstracjach ktoś w końcu wyciągnie broń.

Chodził pan na te demonstracje?

Byłem na demonstracji Strajku Kobiet. Wcześniej synowie zdawali nam relacje

z tego, co się dzieje w Łodzi, bo tam studują. Myśmy wtedy z żoną nie mogli chodzić, bo złapał nas koronawirus i siedzieliśmy w domu z gorączką. Ale kiedy w Warszawie odbyła się ta największa demonstracja, już mogliśmy pójść spełnić obywatelski obowiązek. Jednak przeraża mnie, ale jednocześnie fascynuje konsekwencja „dobrej zmiany”. To niebywałe, z jakim uporem i cynizmem robią swoje. W czasie pandemii z pełną premedytacją ogłaszają orzeczenie Trybunału w sprawie aborcji. Wiadomo było przecież, że ludzie wyjdą na ulice.

Ale chyba nie przewidzieli, że wyjdą ludzie tak młodzi i że sięgną po straszną broń – humor i ironię.

Oj, tak. Pękaliśmy z Agnieszką ze śmiechu, czytając hasła na kartonach. Ta ironia, absurd, surrealizm. Cudowne. Moje ulubione hasła to: „Jarek, jesteś u pani”, „PiS wacha klej”. No i jako kibic piłkarski doceniałem hasło: „Jesteście śmieszniejsi niż piątkowe mecze ekstraklasy”. To naprawdę było coś zaskakującego.

Mnie jako zwolennicze ekologii podobało się: „PiS do bio czy do zmieszanych?”.

Młodzi dali czadu. W końcu się wkurzyli. Ale gdy spojrzeć na to realistycznie i z dystansu, pojawia się pytanie: co dalej? Możemy klepać banały, że jedyna nadzieja w młodych czy w kobietach. Ale to nie wystarczy. Musi pojawić się ktoś z charyzmą, kto zarazi młodych ludzi ideą tak, żeby tłumnie poszli na wybory i odsunęli PiS od władzy. Idei im trzeba.

Pandemia zatrzymała pana w pełnym biegu?

Oj, tak. Rok 2019, gdy kręciliśmy „Króla”, był bardzo intensywny. Śmieję się, że zostałem po tym królem seriali, od których wcześniej stroniłem. Jednak seriale zaczęły się zmieniać; to już nie jest „M jak mielonka”. Kręcone są jak filmy, na bogato, mają ciekawe, trzymające w napięciu historie i stały się poważną konkurencją dla kina. Tamtej jesieni zagrałem jeszcze w serialu „W głębi lasu” Leszka Dawida i Bartka Konopki. A w grudniu zaczęły się zdjęcia do serialu „Klangor” w reżyserii Łukasza Kościwickiego. Siedzimy na planie w Świnoujściu i 14 marca przychodzi informacja, że jest lockdown i musimy wracać do domu. Trudno było w to wszystko uwierzyć. Jaka pandemia? Jaki koronawirus? Pierwszy raz w życiu zamknęli mi plan filmowy z powodu jakiejś grypy. Przecież jesteśmy w połowie okresu zdjęciowego. Wydawało się, że to absurd. Strach przyszedł później. Postanowiłem potraktować pandemię jak podarowane wakacje, na których nie byłem od dwóch lat. Cieszyłem się, że możemy być znowu



© LESZEK ZYCH

Młodzi dali czadu.
W końcu się wkurzyli.
Ale gdy spojrzeć
na to realistycznie
i z dystansu, pojawia się
pytanie: co dalej?

razem. Nie chcę za dużo o tym mówić, bo mnie synowie uduszają, ale ja jestem zwierzę rodzinne i bardzo przeżyłem, gdy się wyprowadzili z domu. Na czas pandemii zamieszkali znowu w swoich pokojach, powróciliśm do dawnych rytuałów, ognisk, gier planszowych.

Wakacje się skończyły, gdy zachorowaliście z żoną na koronawirusa?

Nie. Po dwóch miesiącach zaczęło mnie nosić. Niepokoiliem się, że musimy odwołać premierę płyty Dr Misio, nad którą ciężko pracowaliśmy. Miała ukazać się pod koniec marca. Przyszedł też lęk przed brakiem pracy, zgnęśnieniem. Na szczęście w czerwcu ruszyła branża filmowa. Rzucałem się w wir pracy i przyjąłem praktycznie wszystkie propozycje, jakie mi złożono. Strasznie chciałem już wyjść z domu. Już tego lenistwa było za dużo, a ja chyba jestem pracowolikiem. W listopadzie wróciliśmy na plan „Klangoru” i to było chyba najtrudniejsze zadanie aktorskie w moim życiu. Ja bardzo głęboko wchodzę w rolę, żyję swoim bohaterem. A przez tę przerwę musiałem go najpierw zresetować, a potem wejść w niego ponownie. W październiku w końcu udało się doprowadzić do premiery płyty Dr Misio „Strach XXI wieku”. Pandemia dopisała do niej nieoczekiwaną puentę.

„Ziemia jest płaska, wiadomo, Matka Boska jest Polką ponoć, rządzą nami jaszczury, kosmici zbudowali Pałac Kultury” – to refren jednej z piosenek. W czasie pandemii teorie spiskowe mnożą się jak koronawirus.

Jakbyśmy cofnęli się do średniowiecza. Oświeceniowe wartości zostały odrzucone. Głównymi tematami stały się jakieś chore, absurdałne historie, że Bill Gates będzie nam za pomocą szczepionek wszczepiał czipy. Niby śmieszne, ale przerażające. Postanowiłem odciąć się od takich „klikbajtów”, od tych wszystkich pseudoinformacji, którymi zalewa nas internet. W tym szumie, w chaosie bodźców, musimy się nauczyć filtrowania informacji.

To na jakim etapie pandemicznym pan dzisiaj jest?

Pozostał lęk, że znowu wszystko zamkną i znowu nie będzie pracy. U Wojtki Smarzowskiego w „Weselu 2” zagrałem wodzireja i wokalistę zespołu disco polo. Zdjęcia trwały od lata do października, z przerwami związanymi z pandemią. Zaprosiłem do współpracy mojego przyjaciela Olafa Deriglasoffa, zrobiliśmy cove-ry discopolowych hitów na użytek filmu. Potem przyszło mi do głowy, że koncertów co prawda nie ma, ale są wesela – nie wiedzieliśmy, że to tylko chwilowe odmrożenie. Jak nas bieda przycisnie, możemy z Olafem założyć brokatowe marynarki, stworzyć egzotyczny duet i występować w domu weselnym Maria, który stoi niedaleko mojego domu na wsi. Zacząłem też na nowo wypełniać kalendarz na 2021 r. Punkt pierwszy – solowa płyta „Romeo i Julia żyją. Film”, którą rok temu zacząłem nagrywać z młodszym synem Jankiem, który jest świetnym gitarzystą. Większość materiału jest już gotowa. Mam nadzieję, że jesienią uda się ją wydać.

Chcesz rozśmieszyć pandemię, opowiedzieć jej o swoich planach...

W moim przypadku muzyka ma to do siebie, że wszystko zależy ode mnie. Gdybym jako reżyser planował film czy spektakl, byłbym uzależniony od całego mechanizmu organizacyjnego, funduszy, terminów, innych ludzi – faktycznie mógłbym się obawiać. Czekaając na aktorskie propozycje, jestem uzależniony od telefonu: ktoś zadzwoni albo nie. A płytę do wakacji skończę w studiu nagraniowym u kolegi Deriglasoffa i jak jej nie wydamy jesienią, to ją wydamy w kolejnym możliwym terminie. Muzyka pozwala zagospodarować myśli, głowa ma szansę gdzieś uciec, zanurzyć się. Trochę na zasadzie strusia, który wsadza głowę w piasek, żeby nie oglądać tego, co się wokół dzieje. A nie dzieje się dobrze.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

Reduta Białystok

Białostocka prokuratura ostatecznie uznała, że były ksiądz **Jacek Międlar** nikogo nie obraził, a jedynie głosił treści ewangeliczne. I umorzyła śledztwo.

PIOTR PYTLAKOWSKI

Wumarzaniu takich spraw białostoccy śledczy mają spore doświadczenie. „Ciemiężyciele i otumaniony, pasywny żydowski motłoch będzie chciał was rzucić na kolana, przecołgać, przemieścić, przeknąć, przetrawić, a na koniec będzie chciał was wypłuć, bo jesteście niewygodni” – głosił w kwietniu 2016 r. ksiądz Międlar podczas mszy w katedrze białostockiej z okazji 82. rocznicy powstania Obozu Narodowo-Radykalnego. Doniesienie o podejrzeniu popełnienia przez niego przestępstwa złożyło Stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita. Wtedy prokuratura w Białymstoku szybko sprawę umorzyła, w cytowanych wyżej słowach i wielu innych, jakie wtedy padły, nie dopatrzyła się niczego naganego, bo to tylko liturgia.

Kilka lat temu jeden z białostockich prokuratorów uznał, że swastyka wymalowana na murze to hinduistyczny symbol szczęścia i w żaden sposób nie propaguje nazizmu, a inny stwierdził, że swastyka to symbol słowiański. W tym samym czasie wyznawcy słowiańsko-hinduistycznego symbolu grasowali po stolicy Podlasia, polując na tzw. obcych. Próbowali spalić mieszkanie, w którym przebywał ze swoją polską żoną obywatel Indii. Nawet całkiem ślepy i głuchy prokurator nie mógłby tego zinterpretować jako płomienia przyjaźni polsko-hinduskiej, więc śledztwo wszczęto, ale sprawców nie namierzono.

W 2018 r. decyzją Prokuratury Krajowej do białostockiej prokuratury ponownie skierowano śledztwo w sprawie Międlara, już byłego księdza. Tym razem za słowa, którymi raził we Wrocławiu, w Warszawie i na łamach skrajnie prawicowych mediów. Białystok miał oskarżać, ale okazał się redutą obrony księdza-narodowca, co było z góry do przewidzenia.

Walka z lewactwem i banderowcami

Zanim śledztwo w sprawie publicznego znieważania oraz nawoływania do nienawiści wobec osób narodowości żydowskiej i ukraińskiej przez (wówczas jeszcze czynnego) księdza Jacka Międlara trafiło do Białegostoku, toczyło się w Prokuraturze Rejonowej dla Warszawy Żoliborza. Przesłuchiowano świadków, zbierano dowody i prawdopodobnie w miarę szybko powstałby akt oskarżenia, ale decyzją Prokuratury Krajowej sprawę przeniesiono do Prokuratury Rejonowej Wrocław Stare Miasto. Powodem był fakt, że we Wrocławiu też toczyło się postępowanie przeciwko Międlarowi.

Doniesienia na Międlara złożyły niezależnie od siebie trzy podmioty: Żydowskie Stowarzyszenie B'nai B'rith, Związek Ukraińców w Polsce i Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych oraz kilka osób prywatnych. We wnioskach o ściganie księdza cytowano publiczne wypowiedzi



Międlara. Na przykład takie: „No widzimy, jakich metod trzymają się Żydzi, po pierwsze okłamują, a po drugie przekupują pieniędzmi” – na YouTube i Twitterze.

„Niebawem przyjdzie nam cieszyć się ze Wspólnoty Chrystusa, wolnej od gejowskiego i talmudycznego – mającego nas za »niewolników« i »robactwo« i dążącego do totalnej destrukcji cywilizacji chrześcijańskiej – kąkolu” – na łamach „Gazety Warszawskiej”.

„Zamiary żydowskiego plemienia panowania nad światem”; „Talmudyczni Żydzi z obrzydliwością wypowiadają się o polskim nacjonalizmie, stojącym na straży dziedzictwa, z którego wyrastamy”; „Taka narracja z pewnością odpowiada talmudycznym imperialistom, którzy opowiadają się za zalewem Europy islamskimi fundamentalistami, gdyż doskonale zdają sobie sprawę, że taki stan rzeczy sprzyjałby ich naczelnym celem: wynarodowieniu i dechrystianizacji Europy, okupionej rozlewem niewinnej krwi” – na łamach tygodnika „Polska Niepodległa”.

„Tylko tak będziemy w stanie wygrać z lewactwem, żydostwem i komunizmem, które wciąż panoszy się po naszej ojczyźnie”; „niech ta banderowska szmata (o fladze ukraińskiej) pali się tutaj na wrocławskim rynku”; „Moi drodzy, to nie jest przypadek, że jesteśmy tutaj wokół tego miejsca, wokół – obok fabryki kłamstwa, którą steruje ukraiński Żyd Aaron Szechter zwany Michnikiem” – podczas wrocławskiego tzw. Marszu Patriotów z okazji rocznicy niepodległości.

Cytatów było znacznie więcej i wszystkie w podobnym tonie. Talmudyści pojawiali się zamiennie z Żydami, banderowcy oznaczali Ukraińców, lewactwo i geje to według żarliwego patrioty jedno i to samo. Uchodźcy to fundamentalści. A imperializm żydowsko-banderowsko-islamski czai się, aby prawdziwych Polaków, koniecznie chrześcijańskich, zniszczyć, spługawić, pożreć i wypłuć.

Pochodzący z rzeszowskiego osiedla Baranówka IV Jacek Międlar święcenia kapłańskie uzyskał w 2015 r. Skierowano go do pracy w parafii na wrocławskim Odporowie i od razu dał się



© MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

poznać jako żarliwy nacjonalista. Podczas wystąpienia na antyimigranckim wiecu we Wrocławiu krzyczy do tłumu o ewangelii, Chrystusie w sercu, o gotowości oddania życia za Polskę i chrześcijaństwo, o Bogu, honorze i ojczyźnie. Miesiąc później jest już w centrum wydarzeń na Marszu Niepodległości 11 listopada w Warszawie. Młody, świeżo wyświęcony ksiądz (27 lat) przemawia do swoich rówieśników, nacjonalistów z mieczkami Chrobrego i falangami: „Jesteście wielką armią Kościoła, jesteście wielką armią Polski”. Wzbudza entuzjazm i zdobywa sławę. W Polskę idzie przekaz, że wszelkiej maści narodowcy mają swojego duszpasterza. Bezkompromisowego patriotę. Sam sobie wystawia opinię: Polak, narodowiec, katolik.

Tropiciel Żydów i gejów

Obsesyjnie tropi żydowskie spiski, twierdzi, że Jedwabne to „żydowskie kłamstwo”. Obraża gejów i ostrzega przed imigrantami, którzy zaleją katolicką Polskę, aby ją zniszczyć. Z jego słów wynika, że każdy muzułmanin to islamski fundamentalista. Staje się idolem wrocławskich środowisk nacjonalistycznych. Potrzebują kogoś takiego jak ten młody ksiądz. Wyrasta na duchowego lidera skrajnych grup, od ekstremalnych kiboli Śląska Wrocław po faszyzujących zwolenników Obozu Narodowo-Radykalnego, Młodzieży Wszechpolskiej i Narodowego Odrodzenia Polski. Pokazuje się z symbolami ONR i MW.

Jego kapłańska posługa we wrocławskiej parafii nie trwa długo. Podobno wierni się skarżą. Hierarchowie próbują go mitygować, ale bez skutku. Jest zbuntowany i nie zamierza się nikomu podporządkowywać. Za karę w lutym 2016 r. zostaje przeniesiony do parafii w Zakopanem. Trafia tam w jedną z sobót, a już w niedzielę, wbrew woli proboszcza, bierze udział w wiecu lokalnych aktywistów ONR przy pomniku Józefa Kurasia „Ognia”. Przemawia, ma na ramieniu opaskę z symbolem falangi. Jego duszpasterski pobyt w stolicy Podhala trwa zaledwie trzy dni. Zostaje przeniesiony do zamkniętego klasztoru.

I niebawem ogłasza decyzję o odejściu ze stanu duchownego. Tłumaczy: „Nie jestem w stanie łączyć Prawdy i Bożego Słowa

z liberalną narracją, w jaką środowiska żydowskie, gejowscy lobbyści, a zatem i moi przełożeni próbowali mnie wpisać. Zdradziłbym Chrystusa, gdybym ustąpił wobec wywieranych na mnie nacisków”.

Nie zamierza przed nikim ustępować. Księdzem jest zaledwie rok. Wraca do świata ludzi świeckich i szybko wiąże się z kobietą, zakłada rodzinę. Uruchamia własną stronę w internecie, pisze blog, wreszcie wydaje książkę „Moja walka o prawdę”. Pod naciskiem klientów Empik wycofuje dzieło Międlara ze sprzedaży. Powodem jest mowa nienawiści prezentowana w wynurzeniach byłego księdza. Od tej pory autor książkę sprzedaje za pośrednictwem własnej księgarni internetowej. Odbija spotkania autorskie. Buduje swój wizerunek nieustraszonego bojownika o wartości chrześcijańskie i narodowe. We Wrocławiu działa ramię w ramię z Piotrem Rybakiem, słynnym ze spalania kukły Żyda na wrocławskim Rynku. Razem z Rybakiem organizują w stolicy Dolnego Śląska marsze nacjonalistów z okazji Święta Niepodległości. Potem ich drogi się rozchodzą. Dochodzi bowiem do ostrej kłótni, ponieważ Rybak wbrew Międlarowi rejestruje na 11 listopada 2019 r. własne zgromadzenie w miejscu, gdzie Międlar planował rozpoczęcie swojego wiecu. Były ksiądz nazywa niedawnego przyjaciela „prowokatorem” i „banderowcem”. Rybak się odgryza: „zaj... cię, mendo!”.

Wielka iskra nadziei

Dwa lata wcześniej Międlar i Rybak jeszcze wspólnie wznosili toast po decyzji Prokuratury Krajowej, nakazującej Prokuraturze Rejonowej Wrocław Stare Miasto wycofanie skierowanego do sądu aktu oskarżenia przeciwko byłemu księdzu za nawoływanie do nienawiści wobec Żydów i Ukraińców. Rzeczniczka Prokuratury Krajowej Ewa Bialik tłumaczyła wtedy, że akt był oparty na zbyt małych dowodach, wymagał uzupełnienia. Ale czego konkretnie brakowało, nie ujawniła.

Międlar dziękuje Patrykowi Jakiemu i Zbigniewowi Ziobrze za reformy w sądownictwie, bo to one dały mu „wielką, ale to wielką iskrę nadziei”. Rybak przytakuje, bo też jest beneficjentem tych reform. W 2014 r. na konwencie Solidarnej Polski śpiewa „Żeby Polska była Polską” wraz z całą wierchuszką tej partii. Tekst utworu ma wydrukowany na kartce. Obok stoi Ziobro i zerka przez ramię Rybaka na ściągawkę. Wdzięcznie kiwają się do taktu Michał Wójcik, Beata Kempa, Jacek Kurski i Andrzej Dera. Rok później Rybak spali kukłę Żyda, sąd skaże go za to na karę 10 miesięcy więzienia, a prokuratura odwoła się od tej decyzji jako zbyt surowej. Ostatecznie Rybak dostanie jedynie trzy miesiące odsiadki, zamienionej potem na dozór elektroniczny, ale ponieważ nie przestrzega warunków dozoru, trafia jednak na krótko za kraty.

W 2017 r. podczas konferencji prasowej ministra Zbigniewa Ziobry pada pytanie, dlaczego prokuratura wnosiła o obniżenie kary Rybaka, a także o odstąpienie od ukarania Jacka Międlara. Ziobro wydaje się zakłopotany. Duka, że istotą państwa demokratycznego jest wolność debaty publicznej i aby tej debaty nie tłumilo zaangażowanie aparatu państwowego.

Międlar korzysta z wolności słowa aż do bólu. O byłym premierze Tadeuszu Mazowieckim mówi, że to zdrajca i żydowski parch. O dwóch wrocławskich prokuratorach, które ośmieliły się go oskarżać: „babska”, „półgłówki” i „chwasty do wycięcia, a cięcie musi być szybkie i precyzyjne”. Przełożona obu prokuratorów po naciskach z Prokuratury Krajowej zostaje odwołana, Międlar nie kryje satysfakcji, bo „wizerunkowo pięknie to wygląda, że spada ze stołka prezes Sądu Rejonowego Wrocław Stare Miasto”. Dziennikarza Igora Isajewa, obywatela polskiego narodowości ukraińskiej, nazywa „banderowskim potworem”. O posłance Joannie Scheuring-Wielgus ►

► pisze na Twitterze, że to „konfidentka, zwolenniczka zabijania (aborcji) i islamizacji. Kiedyś dla takich była brzytwa!”. W 2018 r. zostaje za to skazany na pół roku ograniczenia wolności i 30 godzin prac społecznych. Zapowiada, że będzie kasacja nadzwyczajna, ale nie wyjaśnia, że tę może wnieść minister sprawiedliwości. Nie wiemy, czy coś w tej sprawie z ministrem załatwił.

Były ksiądz obraża, pomawia, nawołuje. Działa jak w amoku, uderza na ślep, nie boi się konsekwencji. Bez wątpienia nie martwi go informacja, że śledztwa o nawoływanie do nienawiści przeciwko Żydom, Ukraińcom i gejom zostają w sierpniu 2018 r. przekazane Prokuraturze Okręgowej w Białymstoku. Już raz w tym mieście postępowanie przeciwko niemu zostało przecież umorzone.

Wolność do szczucia

W Białymstoku sprawę do prowadzenia dostaje prok. Andrzej Purymski. Analizuje dowody, teksty prasowe byłego księdza, zapisy wideo, jego tweety. Dochodzi do wniosku, że opinia dwóch biegłych z zakresu językoznawstwa, powołanych jeszcze przez wrocławską prokuraturę (na podstawie tej opinii prokurator z Wrocławia chciała skierować do sądu akt oskarżenia), jest niewystarczająca. Powołuje więc trzeciego eksperta, księdza profesora z Uniwersytetu im. Stefana Wyszyńskiego (bo tylko ksiądz prawidłowo oceni słowa byłego księdza). I to jego opinią się potem kieruje, odrzucając wcześniejszą ekspertyzę, bo jedynie ona – jak stwierdza na piśmie – daje możliwość prawidłowej oceny zdarzeń.

Po roku prokurator umarza śledztwo, stwierdzając na podstawie opinii biegłego księdza profesora, że czyny zarzucane podejrzanemu nie zawierają znamion czynów zabronionych. Nie doszło do nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych i wyznaniowych. Międlar w swoich wypowiedziach wyraża zainteresowanie m.in. Żydami i używa ostrych sformułowań, ale nikogo nie obraża. Krytykuje jedynie konsumpcjonizm, kosmopolityzm i relatywizm kulturowy. Używa dopuszczalnej krytyki światopoglądowej. I konkluzja: wypowiedzi Jacka Międlara, chociaż czasem zbyt agresywne, charakteryzujące się zbytnimi uogólnieniami i uprzedzeniami, mieszczą się w szeroko pojętej wolności publicystycznej, dopuszczalnej w debacie publicznej.

Prawnicy Żydowskiego Stowarzyszenia B'nai B'rith składają zażalenie na decyzję o umorzeniu. Podważają kompetencje biegłego księdza profesora (nie jest z wykształcenia językoznawcą). Polemizują z konkluzjami prokuratora i ujawniają, że naruszono przepisy postępowania, nie doreczając skarżącemu opinii, utrudniając dostęp do dowodów i nie umożliwiają im uczestnictwa w przesłuchaniach podejrzanego, biegłego oraz świadków.

W marcu 2020 r. Sąd Rejonowy w Białymstoku uwzględnił zażalenie i nakazuje prokuraturze ponowne rozpoznanie sprawy. A potem, z punktu widzenia Jacka Międlara, wszystko idzie jak z płatka. We wrześniu 2020 r. prokurator ponownie umarza śledztwo. Skarżący składają zażalenie na tę decyzję do prokuratora regionalnego w Białymstoku. A 7 stycznia 2021 r. szefowa Prokuratury Regionalnej Elżbieta Pieniążek utrzymuje w mocy postanowienie o umorzeniu.

Jacek Międlar tymczasem robi swoje. Rozbudowuje swój portal głoszący skrajnie antysemickie i antyukraińskie treści. Reklamuje swoją najnowszą książkę „Polska w cieniu żydostwa”. Prosi o wsparcie finansowe na działalność publicystyczną i patriotyczną. Korzysta, jak może, z furtki wolności do szczucia – w ramach dozwolonej debaty publicznej – uchylonej przez ministra sprawiedliwości i białostockiego prokuratora.

PIOTR PYTLAKOWSKI



Hotel Covid

W związku z pandemią oraz brakiem gości właściciel krakowskiego hotelu udostępnił za darmo pokoje potrzebującym. Teraz wszyscy razem czekają, aż ich los się odmieni.

MARTA MAZUŚ

Hotel Covid, trzy gwiazdki, położony w samym Śródmieściu między targowiskiem na Nowym Kleparzu a dworcem Kraków Główny. Jak co rano zaczyna się tu walka o przetrwanie kolejnego zimowego dnia pandemicznej rzeczywistości. Trzy piętra, 50 pokoi, każdy nowoczesnie urządzony w uniwersalnych odcieniach szarości oraz bieli, z łazienką, bogato wyposażonym aneksem kuchennym, ekspresem do kawy, no i oczywiście dostępem do internetu – można by zareklamować, ale nie ma komu. Od roku, z krótkimi przerwami, chroniczny brak klientów. W związku z tym hotelowe wnętrza zajmują całkiem już zadowoleni nietypowi goście.

Tymczasowy, bo trzymiesięczny darmowy dach nad głową, znalazło tu 30 osób. A wszystko za sprawą pomysłu właściciela hotelu. A właściwie właściciela trzech hoteli, trzech restauracji i 13 sklepów z elektroniką, działających w różnych galeriach handlowych na terenie Krakowa. Czyli – jak sam to ujmie – wszystkich tych biznesów, które w wyniku pandemii dostały po dupie. Nazywa się Przemek Greniewicz. Ale w jego pandemicznym hotelu wszyscy i tak mówią na niego Prezes.

Prezes

Nie przebiera w słowach, bo nieźle już mu ta pandemia zalazła za skórę. Dla niego to jest jak wojna, jak jakiś armagedon. Do tej pory, gdy coś w biznesie nie szło, mógł za to winić tylko siebie. A teraz? Facet w szczycie możliwości, wiek mickiewiczowski, ma związane ręce, nic nie może zrobić. Może tylko czekać, aż to cholerstwo się skończy. Albo na esemesa: czy jego kolejny



W nowocześnie urządzonych pokojach zamieszkali nietypowi goście. Poniżej: Przemek Greniewicz, właściciel hotelu.



© LESZEK ZYCH (2)

wniosek o rządową pomoc z tarczy finansowej PFR 2.0 został uwzględniony.

Prezes opowiada: – *Kiepsko zaczynało być, zresztą jak co roku, już koło listopada 2019. Wszystkim się wydaje, że Kraków to dla hotelarza istne eldorado. Tymczasem pod względem turystycznym tu już po wakacjach wszystko pustoszeje. Bo Kraków stoi Anglikami i innymi cudzoziemcami. Tu nikt z Polaków nie przyjeżdża na dwa tygodnie ferii. Średni pobyt w Krakowie to są dwie doby. Więc styczeń i luty zeszłego roku jak zawsze były kiepskie. W marcu pierwszy lockdown. Potem przyszło lato, była chwila oddechu. Ale bez szalu – na 160 pokoi we wszystkich moich hotelach dziennie wynajętych miałem około sześciu. Raz zdarzył się rekord – zajętych było 12. A potem już był początek października, Wielka Brytania zarządziła obowiązkową kwarantannę dla przyjeżdżających z Polski. No i się skończyło.*

23 października 2020 r., gdy rząd ogłaszał kolejne obostrzenia związane z drugą falą koronawirusa w Polsce, Prezes napisał spontanicznie na swoim Facebooku: „Szanowni Państwo, w związku z brakiem możliwości działalności hotelowej z uwagi na pandemię, dysponując wolnymi pokojami, ogłaszamy akcję

charytatywną „Dach nad głową za 1 zł”. (...) Będziemy przyjmować zgłoszenia osób zainteresowanych pobytem w okresie zimowym, od grudnia 2020 do marca 2021, przy czym akcja skierowana jest wyłącznie do osób bezdomnych i potrzebujących (...)”.

Komuś się pomoże. Po co ma stać puste? Niech się na coś przyda. Może dobra karma wróci? Tak sobie to wymyślił.

Pielęgniarka Wandzia

Na początku nie wierzyła. Nikt za bardzo nie wierzył. Tunel między Plantami a Galerią Krakowską cały huczał od plotek. Tunel to dla wszystkich bezdomnych w Krakowie miejsce strategiczne – można tam dostać coś do jedzenia, ubrania, ale przede wszystkim można się czegoś dowiedzieć.

Elegancki hotel za darmo? I w dodatku teraz? Do tej pory w pandemię tylko ich przeganiali. Galeria Krakowska? Zamknięta. Schody przy dworcu? Zaraz podchodzi straż miejska. Noclegownia? Od razu na kwarantannę. No to człowiek chodził, grupami albo w pojedynkę, całymi dniami i nocami tułał się po mieście.

Wandzia zawsze w pojedynkę, w maseczce. W końcu przez całe życie była pielęgniarką. Pielęgniarka nie lekceważy wirusów. Szczególnie taka, która choruje na nowotwór. Złośliwy, lewa pierś. Miała mieć amputację, ale z powodu pandemii przesunięto jej zabieg. W zamian, na przeczekanie, dostała serię naświetlań wraz z niepewną gwarancją, że rak nie przeniesie się dalej.

Wandzia wie, że może być różnie. Jak u jej męża. Dwa miesiące i po wszystkim. A tak już im było dobrze. Cudownie się odnaleźli, po 15 latach od spotkania na wczasach w Kołobrzegu wzięli ślub, minął rok i w zeszłym roku, tuż przed początkiem pandemii, wszystko się skończyło.

W wynajmowanym wspólnie mieszkaniu nie mogła zostać sama – wspomnień za dużo, a na czynsz za mało. Już wtedy nie pracowała, nie miała nic swojego. Całe życie tak jej minęło bez własnego kąta. Jej domem była praca i hotel dla pielęgniarek. Więc po śmierci męża a to ośrodek dla bezdomnych kobiet prowadzony przez siostry, a to tani hostel, 25 zł za dobę. Do emerytury zostały jej dwa lata. Za 645 zł zasiłku miesięcznie w Krakowie nic się nie wynajmie.

Gdy tamtego październikowego dnia zaczął ją wolontariusz jednej z fundacji pomagającej bezdomnym z pytaniem, czy wysłać jej zgłoszenie do niecodziennej oferty, Wandzia nie wahała się ani chwili.

Menedżerka

Szybko się przekonała, że pomaganie innym w czasie, gdy wszyscy tak naprawdę oczekują pomocy, wcale nie jest proste. Rozmaite fundacje i lokalne gazety od razu podłapały temat – o pomysły zrobiło się w Krakowie głośno. Maile i telefony, wiadomości przez Facebooka spływały do nich przez kilka tygodni. Zgłoszeń do darmowego pobytu w ich pandemicznym hotelu zebrało się w sumie kilkaset. Niektóre sprytnie – jedna pani przyznała, że chciałaby trochę w tym trudnym czasie zaoszczędzić, nie chce płacić za mieszkanie, więc może mogłaby u nich pomieszkać? Inne nie do wiary – mailem przyszło CV od kobiety z wieloletnim doświadczeniem pracy w korporacjach, specjalistki w zarządzaniu zasobami ludzkimi, aktualnie bezrobotnej.

Ostatecznie kryteria wyboru postanowili określić dość prosto – liczyła się historia danej osoby, a do tego uwiarygodnienie ze strony jakiejś instytucji. No i kandydat musiał się zgodzić na podpisanie regulaminu zabraniającego m.in. picia, palenia i niszczenia pokoi.

1 grudnia się zameldowali. Niektórzy, jak Młoda, z własnym telewizorem i hulajnogą elektryczną – jak tłumaczyła – darami ze Szlachetnej Paczki. Inni przywiezieni samochodem przez ►

► mamę, jak zaprotegowany przez fundację zajmującą się pomocą ludziom po wyrokach były więzień Alan. Zdecydowana większość – na piechotę. Gdyby nie foliówki trzymane kurcuzowo, można by pomyśleć, że to wielka wycieczka.

Były więzień Alan

Jest jednym z czterech więźniów, którzy pandemiczną zimę spędzają w Hotelu Covid. Choć do pandemii Alan wciąż się przyzwyczaja. Obostrzenia w więzieniu to była raczej fikcja. W praktyce oglądali je w telewizorze. Bo jak zachować dystans na kilkusobowej sali? Maseczki strażnicy zaczęli nosić dopiero po kilku miesiącach. I nawet pod koniec jego pobytu, gdy pół oddziału chodziło, kaszłąc, nikt nawet nie wspominał o jakimś testowaniu.

Za dobre sprawowanie wyszedł niedawno, we wrześniu 2020 r. Półtora roku odsiadki za narkotyki – Alan tak ogólnie streszcza. Potem 2,5 miesiąca w domu przejściowym dla byłych więźniów. A teraz musi sobie zbudować całkiem nową tożsamość. I choć rodzice namawiali go, by wrócił do domu, on zdecydował, że ten hotel to będzie nowy początek.

Codziennie rano wstaje i idzie na grupową terapię, a w międzyczasie rozgląda się w ogłoszeniach za jakąś dorywczą pracę. Porównawcze studia cywilizacji na UJ przerwał po pierwszym roku, więc wybór ma między kasą w Żabce, sprzątaniem a wyładowywaniem towarów. Jak na razie nic jeszcze nie złapał, dzwoni, ale ogłoszenia już tego samego dnia są nieaktualne.

Ale Alan wie, że w porównaniu z innymi lokatorami Hotelu Covid i tak nie ma najgorzej. Gdy była Wigilia i Prezes dla wszystkich lokatorów we wspólnej kuchni zorganizował świąteczne spotkanie, Alan mógł pojechać do domu, do rodziny. A zanim zaczął terapię, pracował przez kilka miesięcy w fabryce papierosów, więc ma już trochę odłożone, żeby po wyjściu stąd coś sobie wynająć.

O swoich sąsiadach wie raczej niewiele. Nikt nikomu tutaj za bardzo się nie zwierza. Gdy w ciągu dnia stanie się na wspólnym korytarzu, słysząc głównie ciszę, od czasu do czasu przerywaną dialogami z tureckiej telenoweli. W sumie nic dziwnego – gdy chociaż na te trzy miesiące ma się własny pokój, każdy chce się nim nacieszyć. Niektórzy do tego stopnia, że prawie w ogóle go nie opuszczają, jak np. kobieta z korporacji, pani-zagadka.

I tylko czasem na papierosie, na którego wychodzą przed budynek, można się trochę dowiedzieć o innych. Że Tadek, kierowca, już 13. miesiąc nie może znaleźć pracy. Wcześniej rozwodził dzieciaki do szkół, na baseny, a teraz nie ma gdzie ani kogo rozwodzić. Że ślusarz Zygmunt już od zeszłego lata nie widział się z rodziną – czeka, aż będzie miał za co kupić wnukom czekoladę. Albo że kucharz Waldek pobił się wczoraj z takim jednym Markiem i z tego powodu musiał pożegnać się z hotelem. A miał przecież dla wszystkich gotować obiady.

Menedżerka

Przyznaje, że nie jeden Waldek tu wyciął numer. Już po trzech pierwszych dniach byli tacy, z którymi Menedżerka i Prezes musieli się pożegnać. W sumie od początku grudnia wyleciało sześciu panów, przede wszystkim za picie. Najpierw zauważyło się niepewny krok, a potem pokojówka wyciągała spod łóżka puste butelki.

Z każdym takim odejściem Menedżerka czuła, jak coraz bardziej podupada na duchu. Bo zaczęli z nadzieją i entuzjazmem, a tu się okazało, że można chcieć i się starać, ale nic na siłę. Że sam ciepły kąpiel nie zawsze wystarcza, żeby ktoś dał radę poprawić swoje życie.

Z obserwacji Menedżerki wynika, że ci, którzy przed zameldowaniem u nich mieli jakąś pracę, nadal ją mają, a u pozostałych niewiele się zmieniło. Kręcą się, krzątają, wychodzą, wracają, są wdzięczni, sympatyczni, ale nic więcej z tego nie wynika.

Chociaż musi przyznać: zdarzyły się też drobne sukcesy. Pielegniarce Wandzi udało się załatwić pracę – może dorywczo przychodzić jako pomoc w ambulatorium w jednym z krakowskich szpitali. Piotrek, po operacji serca, dostał się na rehabilitację. No i Andrzej, który mówi o sobie, że jest promotorem turystycznych atrakcji, dzięki ponownemu otwarciu muzeów, kin i teatrów w połowie lutego mógł wrócić do pracy.

Promotor Andrzej

Staje na opustoszałej ulicy Grodzkiej i zachęca do przeniesienia się do lepszego świata. W ofercie ma labirynt luster, wystawę żywych motyli, papug i kanarków, a także przejazd górską kolejką. Zakłada się specjalne gogle VR, wrażenia są niezapomniane, jak w amerykańskich górach albo przynajmniej w Energylandii.

Na tym właśnie polega jego praca. Andrzej wręcza ulotki i się uśmiecha, ubrany w elegancką koszulę wystającą spod kurtki. Ten uśmiech na jego twarzy jest trochę wspomagany – już od wielu miesięcy wywołuje go poranna i wieczorna dawka hydroksyzyny. W swoim pokoju w Hotelu Covid trzyma to cudowne lekarstwo w pudełeczkach ułożonych równiutko na parapecie.

Andrzej dba o porządek, bo – jak sam mówi – w ten sposób okazuje wdzięczność za to, co mu się tutaj przytrafiło. Bo wie, jak może być w hotelach. Przerobił ich w życiu wiele. Ostatnio w Krakowie przez trzy miesiące mieszkał w hostelu robotniczym, 650 zł za miesiąc, sześciu w jednym pokoju, okradli go tam z pieniędzy. A wcześniej miał porównanie z tymi zagranicznymi – na ubytowni w Czechach, pod Pilsnem, spędził w sumie dwa lata, pracując w fabrykach podzespołów. Po próbie samobójczej wywieźli go stamtąd do szpitala psychiatrycznego.

A teraz jest tutaj. Liczy dni do końca. Na myśl o zbliżającej się wyprowadzce Andrzej łyka kolejną cudowną tabletkę. Bo wrócił do pracy, to prawda, ale na promowane przez niego atrakcje wcale nie wałęsa tłumy. Do tego potrzebne byłoby słońce, wakacje, otwarte hotele oraz restauracje. Teraz wyciąga rękę z ulotką, ale nikt jej nawet nie weźmie. Ludzie nie mają pieniędzy na takie atrakcje, a do tego się boją, że ulotki zakażone. Co więc mu szkodzi zdradzić tajemnicę. W tym labiryncie luster, który reklamuje, jest takie zadanie – wchodzi się i trzeba w gąszczu przeszkód, zakamarków i złudzeń optycznych jakoś znaleźć wyjście. Nie jest to łatwe, ale Andrzej podpowie: wyjście jest tam, gdzie jeście.

Prezes

Właśnie się dowiedział, że już czternasty jego wniosek o pomoc z tarczy finansowej został odrzucony. Przyczyna nieznana. Jak na razie załapał się więc tylko na jedną zapomogę – pierwszą tarczę w maju. Starczyło ledwie na pokrycie zobowiązań związanych z pracownikami. Przed pandemią we wszystkich swoich spółkach zatrudniał ponad 250 osób, teraz została mniej niż połowa. A inne koszty? Tylko z hoteli ma 0,5 mln zł faktur za sam najem obiektów, które stoją puste. To ostatnie poluzowanie obostrzeń, 50 proc. otwarcia hoteli, nie zrobiło mu tak naprawdę żadnej różnicy. W ciągu pięciu dni, od kiedy na nowo otworzył możliwość rezerwacji, wpłynęły dwie na trzy hotele. I nie wiadomo już, co bardziej przytłacza – totalny brak pieniędzy czy totalny brak pracy.

Prezes wraz z resztkami załogi musi więc szczerze przyznać: gdyby nie tymczasowi lokatorzy ich Hotelu Covid, który tak naprawdę nazywa się Hotel Corner, pewnie z tej beznadziei już by zwariowali. A tak to jest chociaż coś do załatwienia, jest ktoś, kogo można wpuścić do środka, podać klucz do pokoju.

MARTA MAZUS

PS 15 marca gościom Hotelu Covid upłynęła ostatnia doba hotelowa.

Bliskie spotkania z oddali



Branża oferująca akcesoria sex-tech nigdy nie miała się tak dobrze jak w czasach społecznego dystansu.



Z początkiem pandemii Mateusz Wójcik, sprzedawca z Krainy-doznań.pl, zaczął martwić się deficytami w magazynie.

Towar, zwłaszcza ten ekskluzywny, sterowany na pilota, stał się niemal z dnia na dzień niedostępny. Hurtownie w związku z faktem, że przysiadł import z Chin, odnotowywały braki. Tymczasem zawirusowany przemysłowy Wuhan to w branży duży producencki gracz. Rezerwy porobił dopiero po dwóch miesiącach, zmuszony zwrócić się do fabryk w Holandii, co wywindowało ceny.

Podczas gdy zaraza rujnuje większość branż, paczkomaty całej Polski pełne są elektroniki erotycznej, na którą popyt potroił się w porównaniu z tym samym przedpandemicznym sezonem. Klient – Wójcik analizuje ten fenomen – musiał poradzić sobie z nienaturalnym dla człowieka przymusem dystansu, małżeńską nudą samoizolacji w dużym pokoju i egzystencjalnym lękiem przed śmiercią.

Randka przez telefon

Popyt falował wraz z dynamiką pandemii. Początkowo przygaś, choć czas przypadał na dzień zakochanych, a potem święto kobiet – dla branży zwyczajowo dożynki. Akcesoria *well-being*, czyli te poprawiające samopoczucie, przestały być galanterią pierwszej potrzeby. Lecz kiedy ludzi zamknięto przymusowo w domu i zaczął im się dłużyć czas, nastąpiło uwolnienie magazynów. Wysoki trend utrzymywał się do lata, gdy powypuszczani z izolacji porożjeżdżali się po kraju. Zapotrzebowanie ponownie wzrosło późną jesienią.

Izolacja – patrzy Mateusz Wójcik po towarze, który najlepiej schodzi mu z półek – zmienia zakupowe preferencje tak bardzo, że wciąż trudno dostosować zaopatrzenie do apokalipsy. Totalnie straciły na zainteresowaniu *standardy*, najbardziej zaś analogowe lalki dmuchane, czyli asortyment, który w poprzednich czasach zamawiano masowo na wieczory kawalerskie. Z racji dystansów są niezalecane, więc bestsellerem stała się elektronika. Zsynchronizowane aplikacje obsługiwane przez chmurę umożliwiają cyfrowe zbliżenia na odległość. Wójcik wytłumaczy, upraszczając: on i ona mają swoje smartfony. Ściągają na nie program i bawią się, z dowolnego miejsca na świecie.

W tych trudnych czasach elektronika pozwala przetrwać również singlom, prowadzącym dotychczas luźny seksualnie styl życia, a dziś pozbawionym ►

ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ